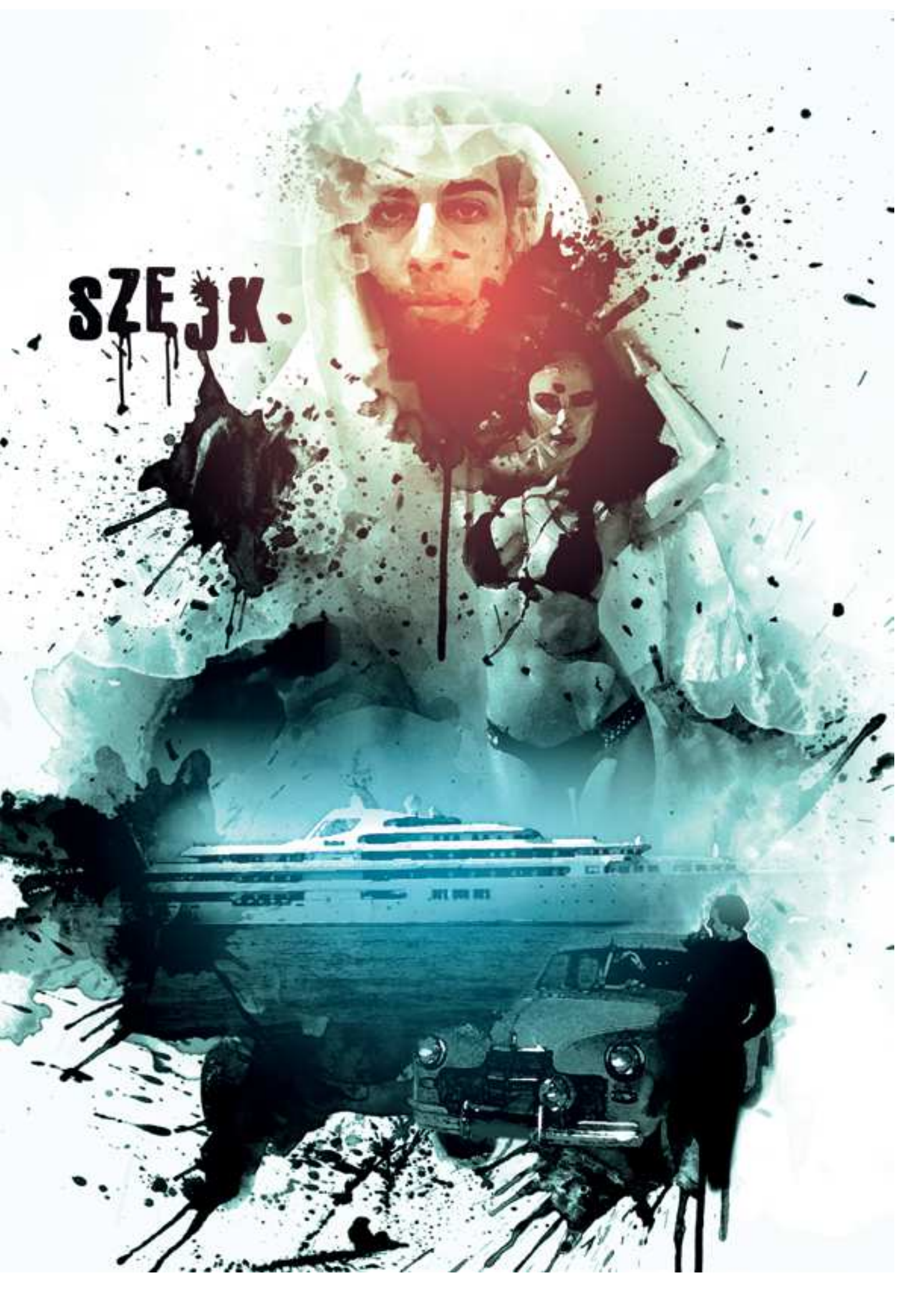


SZEJK.



W ostatnich latach dużo się mówi o globalnym zjawisku handlu ludźmi, o gangach przerzucających z kontynentu na kontynent wielkie ilości kobiet, mężczyzn, a nawet dzieci, o mafiach czerpiących z tego ohydneho procederu kokosowe zyski. W więzieniu w Strzelcach Opolskich też mieliśmy handlarza ludźmi i to już w 1975 roku. Wtedy w Polsce Ludowej, gdzie wszyscy byli z założenia równi, gdzie nie było wyzysku, a każdy rodzaj transakcji finansowych był pod kontrolą państwa, określenie „handel ludźmi” brzmiało bardziej literacko niż prawniczo, jakby pochodziło w powieści o XIX-wiecznym podboju Afryki. A jednak rzecz zdarzyła się „tu i teraz”.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych niejaki niespełna 30-letni Zygmunt H. polował po kraju na młode, atrakcyjne i naiwne kobiety, aby je potem sprzedawać arabskiemu szejkowi. Do tej pory miliarderzy z emiratów kupowali sobie w Polsce co najwyżej wspaniałe polskie konie w słynnej stadninie w Janowie Podlaskim, teraz zaczęli też kupować nasze dziewczyny. Przy czym Zygmunt H. poszukiwał wyłącznie blondynek. Takie miał zlecenie.

Oczywiście to nie wyglądało tak, jak we wspomnianych powieściach o niewolnictwie, gdzie ludzi porywano, wywożono i zmuszano do określonej pracy. Ofiary Zygmunta H. wyjeżdżały do Dubaju dobrowolnie, mamione pracą na luksusowym jachcie, gdzie miały być stewardesami względnie sprzątaczkami. A zostawały nałożnicami szejka i jego gości. Czy wyjeżdżając, wiedziały, czego od nich oczekiwano? Pewnie się domyślały, bo warunkiem zawarcia kontraktu było pozowanie do rozbieranego zdjęcia, które podlegało ocenie Chabiba Abdula Sattara, Araba urodzonego w Damaszku, który był łącznikiem pomiędzy Zygmuntem H. a szejkiem Dubaju. Sam zaś Zygmunt H. był urodzonym w Przemyślu obywatelem

42 USA, który prowadził własne przedsiębiorstwo w Niemieckiej Republice Federalnej, jak się wtedy nazywały Niemcy Zachodnie.

Gdy Chabib Abdul Sattar akceptował sfotografowane wdzięki polskiej dziewczyny, spotykał się z nią osobiście i wtedy musiała się przed nim rozebrać. Akta sprawy milczą o tym, czy dochodziło już wtedy do zbliżeń. Po akceptacji dziewczyna dostawała 100 dolarów do ręki, a 100 na konto w banku Pekao SA, jedynym w PRL, w którym nasi obywatele mogli mieć walutowe rachunki. W latach siedemdziesiątych te dwieście dolarów to była kwota ogromna – dobra roczna pensja robotnika.

Mając dolarowe konto, dziewczyna mogła ubiegać się o paszport, po czym wyjeżdżała do Wiednia, gdyż w latach siedemdziesiątych do Austrii obywatele polscy mogli wyjeżdżać stosunkowo najłatwiej z wszystkich krajów tzw. kapitalistycznych. Z Wiednia samolotowy skok do Bejrutu, a potem do Dubaju nad Zatoką Perską – na jacht rozpusty. Wszystkie koszty ponosił Zygmunt H.

Jedna z kobiet potem zeznała, że wytrzymała tam 10 dni. W tym czasie musiała uprawiać seks z samym szejkiem oraz bratem Chabiba. Traktowana była przyzwoicie, wręczano jej prezenty, jednak nie chciała być luksusową nałożnicą. Okłamała miliardera, że ma w Polsce chorą matkę. On zezwolił jej na powrót i wręczył nawet umówione tysiąc dolarów. Prezentów nie odebrał, pozwolił bez problemu opuścić wodny harem. Kobieta opowiadała potem, że szejek, owszem, jurny był, ale oddawał się uciechom cielesnym zawsze ubrany w podkoszulek, co rzecz jasna nie wносиło nic nowego do sprawy, ot, taka ciekawostka.

Dwie inne kobiety zeznały, że H. szantażował je zwrotem ogromnych kosztów podróży, gdyby wycofały się z transakcji. Dla nadania powagi geszefutowi rajfur posługiwał się oryginalnymi formularzami przedsiębiorstwa handlu zagranicznego Polserwis, które zdobył po znajomości. W niektórych rozmowach z kobietami towarzyszył mu zresztą pracownik Polserwisu – aby nadać spotkaniu powagi i uwiarygodnić słowa

Zygmunta. Warto uświadomić sobie specyfikę epoki, w której wszystko się działo. To były czasy, gdy w Polsce dopiero pojawiła się coca-cola, a kobiecie w głowie można było zawrócić flakonem zagranicznych perfum i butelką koniaku z „Peweksu”, cóż dopiero wizją luksusowej pracy pod palmami snutą w obecności przedstawiciela poważnego państwowego przedsiębiorstwa.

Na trop procederu wpadła milicja najprawdopodobniej wskutek donosu. Zygmunt H. został rozpracowany, uzyskano zeznania dziewczyn i w październiku 1975 roku sąd skazał go na cztery lata więzienia za – jak to uzasadniono – „handel ludźmi w celu eksploatacji prostytucji”.

Na tym można by opowiedzieć o Zygmuncie H. zakończyć, gdyby nie dwa interesujące wątki poboczne. Pierwszy – finansowy – doskonale ilustruje absurd ekonomiczny, w jakim tkwiła PRL, drugi – obyczajowy – ma charakter uniwersalny, bo komediowy.

Otóż sąd wyznaczył Zygmunтови H. dwie kary grzywny zamienione na zastępczą karę pozbawienia wolności w postaci trzech lat więzienia pierwsza i 400 dni druga. Skazany mógł sobie skrócić odsiadkę, wpłacając 100 złotych za każdy jej dzień. Ponieważ Zygmunt H. dysponował tylko dolarami, wyznaczono oficjalny przelicznik – 5 złotych za dolara. Tyle tylko, że kurs czarnorynkowy był wtedy 20-krotnie wyższy, więc gdyby więzień za pośrednictwem np. adwokata lub konsula USA, który odwiedzał go w celi, sprzedał dolary cinkciarzowi pod „Peweksem” (kantarów wtedy nie było, bo byłyby nielegalne), zapłaciłby za swoją wolność aż 20 razy taniej. Dlatego Zygmunt H. długo i gorączkowo zabiegał o to, aby zapłacić jednak w złotówkach, nie udało się. Sąd nie wyraził zgody, kierując się zapewne potrzebami socjalistycznej gospodarki, która łaknęła wtedy twardej waluty jak kania deszczu.

A komediowy wątek wyglądał tak. W depozycie więziennym stał sobie na półce neseser Zygmunta H. W neseserze było kilka butelek drogiego alkoholu. Wiadomo, handlarz ludźmi lubił i musiał wręczać luksusowe

44 prezenty, choćby po to, żeby robić wrażenie. Na kilka dni przed zwolnieniem Zygmunt H. poinformował więziennych kompanów o zawartości neseseru. Współ w zespół, by żądz moc móg wzmóc... – żeby sparodiować nieśmiertelnych Starszych Panów Dwóch – postanawiają oni „odbić” cenną zawartość i wyprawić Zygmuntowi pożegnalną bibkę. Jeden z pracujących skazanych poprosił magazyniera, aby ten pozwolił mu posprzątać pomieszczenie depozytu. Gdy został sam, odszukał neseser i za pomocą wężyka, który wcześniej ukradł z więziennego akwarium, spuścił zawartość luksusowych butelek do słoika za drzwiami, przeprowadzając rurkę przez dziurkę od klucza. Czysto, cicho, higienicznie.

Popijawa się odbyła i miała skutki wychowawcze, bo strażnicy nakryli pijanych więźniów, w tym samego Zygmunta. Funkcjonariuszy nigdy by nie było stać na takie wykwintne trunki, a zresztą takowych nie było wówczas w naszym uspołecznionym handlu. Postanowiono jednak nie przedłużać Zygmuntowi H. kary, choć regulaminowo należało mu się. Umówiona bowiem była już limuzyna z konsulatu USA, która miała odebrać go spod bramy więzienia. Nie żeby Zygmunt H. był aż taki ważny, po prostu w taki sposób rząd USA dba o swoich obywateli, mają tę opiekę zagwarantowaną stosownym przepisem. I rzeczywiście taka konsularna limuzyna po więźnia przyjechała. Tu kolejna komediowa sytuacja, bo z drugiej strony przepis zobowiązywał nas, aby każdego obcokrajowca przy wypuszczaniu przekazywać milicji celem załatwienia formalności paszportowych. Doszłoby zatem do kuriozalnej sytuacji, kiedy pod bramą więzienia na tego samego skazanego czekałby samochód z rejestracją amerykańskiej ambasady i polski milicyjny radiowóz. I co? Mają sobie więźnia wyszarpywać? Aby uniknąć scen i ewentualnego konfliktu, wypuściliśmy Zygmunta H. przez bramę gospodarczą – wprost do samochodu milicji. A Amerykanom powiedziało się, że przyjechali za późno, bo więzień wyszedł wcześniej. Zaznaczam, że stało się tak na wyraźne życzenie milicji. Może chcieli go jeszcze podoić z jakichś informacji, a może służby chciały

mu złożyć propozycję współpracy... Ten człowiek wyjechał od razu do Nowego Jorku, nawet mam gdzieś w swoich notatkach jego adres.

Ale najbardziej egzotycznymi więźniami strzeleckiej „jedyńki”, jeśli chodzi o miejsce, skąd przybyli, okazali się chyba jednak trzej obywatele Królestwa Afganistanu, bo wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, ten kraj był jeszcze królestwem. W 1971 roku zgłosili się oni w urzędzie celnym w Poznaniu po przesyłkę, którą nadali u siebie w kraju. Sądziли pewnie, że socjalistyczne europejskie państwo nie pozna się na jej zawartości. Tymczasem w paczce były prawie 33 kilogramy haszyszu o nieustalonej wartości, ale jak napisano w papierach sądowych – nie mniejszej niż 50 tysięcy złotych. To rzeczywiście musiało być kłopotliwe dla sądu – ustalić wartość czarnorynkową haszyszu, bo kto wtedy w Polsce palił haszysz? Kto nim handlował?

Ta afgańska trójca trafiła do Strzelec. Po zwolnieniu z kary zasadniczej na mocy amnestii z 1974 roku pozostała im do spłacenia grzywna w wysokości 150 złotych za dzień. Płacić mieli dolarami po kursie państwowym, czyli lichym w stosunku do tego spod „Peweksu”. Państwo polskie okazało się dla handlarzy narkotyków bardziej surowe niż dla handlarza ludźmi, bo pamiętamy, że Mr H. z USA dostał od sądu stówkę dziennie. Ale nie po to wspominam Afgańczyków, żeby eksploatować wątek ekonomiczny, lecz kulinarny.

Nikt z nich nie mówił po polsku, a żaden z nas nie mówił po angielsku. Cóż, takie czasy, że w szkole uczono nas tylko rosyjskiego, żeby przyjaźń z Sojuzem umacniała się nawet lingwistycznie. Nie mogliśmy zatem ich zapytać, dlaczego nie spożywają więziennych posiłków. Czy to forma głódówki? Protest? Foch? Platerki były po posiłkach nietknięte i służby zabierały je z powrotem do kuchni.

Kierownictwo zaczęło szukać wśród więźniów kogoś, kto zna angielski, no i trafił się pewien inteligent. Co się okazało? Że trwa ramadan, który nakazuje im jadać tylko po zachodzie słońca. Nie znaleźliśmy jeszcze wtedy

46 | pojęcia multi-kulti, tolerancji dla odmienności cywilizacyjnej i tym podobnych sloganów, którymi dziś się nas bombarduje, a nierzadko terroryzuje, ale kierownictwo szybko zaakceptowało tę odmienność i zostawiano im pełne michy na całą noc. Rano zbierano wymiecione do czysta. Mieli trochę oporów wobec wieprzowiny, ale nasi więźniowie przekonali ich, trochę żartobliwie, że wzrok Allacha i tak nie sięga do polskiego kryminału, więc żeby jedli kielbasę oraz schabowe, bo to daje krzepę, która przydaje się za kratami.

